

Nikogo nie ma w domu

30 kwietnia 2010

Minęły dwa tygodnie od „smoleńskiej soboty”, czyli od „drugiego Katynia”, zaś można odnieść wrażenie, że w Polsce nie ma dziennikarzy. Zniknęli. Przepadli jak kamień w wodę. Pełno ich, ale jakby ich w ogóle nie było. Albo raczej są, ale gdy obywatele pukają do ich drzwi, to odpowiadają oni „nikogo nie ma w domu”.

Mnie to jakoś szczególnie nie martwi – ostatnie dwa tygodnie przejdą bowiem do historii Sieci w Polsce jako zupełnie niespodziewany przełom w tym, co nazywane bywa zwykle debatą publiczną, jako bezprecedensowy w historii Internetu tryumf blogerów nad... profesjonalistami. Ileż to słyszeliśmy przez ostatnie lata połajanek, jakoby blogerzy żerowali na tekstach i newsach dziennikarzy. Ile razy przypominano nam, że tak naprawdę to jedyne, co robimy, to komentujemy to, czego dowiedzieli się zawodowcy. Ci ostatni zresztą, spędzając mnóstwo czasu na cierpliwym wsłuchiwaniu się w Palikota lub Niesiołowskiego i pochylaniu się nad każdym ich zakłamanym wystąpieniem, gdy akurat wydarzyła się największa tragedia w powojennej Polsce (największa tragedia w powojennej Polsce!), której skutki właściwie ciężko wciąż oszacować – naraz nie wiedzą, że można robić reportaże z miejsca tragedii, że można ganiać za politykami odpowiedzialnymi za ochronę prezydenckiego samolotu, że można szukać świadków lądowania Tu-154M, że można badać materiały pojawiające się w Sieci. Czekają. Na co? Ano pewnie na werdykt braci Moskali, że nic się nie stało. No, a jeśli się stało, to i tak się nie odstanie.

Co bowiem może być tematem dla polskiego dziennikarza zatroskanego o losy świata? Nuuu, na przykład to, czy kolegium IPN-u nie szarżuje, postępując zgodnie z obowiązującą ustawą dotyczącą IPN-u, nie czekając na ruchy kolejnego „wujka Bronka”? IPN jest problemem, dr Fedyszak-Radziejowska jest

problemem, a nawet przemawiający w programie Pospieszalskiego prof. Krasnodębski jest problemem, ale na pewno problemem nie jest przejmujący zupełnie bezprawnie władzę Komorowski po dwóch godzinach od smoleńskiej tragedii (i wydający natychmiastowe polecenia rozmaitym dziwnym ludziom), gdy w żaden urzędowy sposób nie została potwierdzona przez stronę polską śmierć Prezydenta RP. Problemem jest to, że dzicz internetowa rozsiewa „teorie spiskowe”, co sprawia, że do programów radiowych i telewizyjnych zatroskani dziennikarze sprowadzają socjologów, psychologów i antropologów (czemu nie psychiatrów takich jak imć Sadurski?), by odczyniali czary tej dziczy – nie zaś to, że od pierwszych chwil po katastrofie służby rosyjskie wysyłają dziesiątki sprzecznych sygnałów powodujących klasyczną dezinformacyjną mgłę i to w sprawie tak ważnej dla milionów Polaków. Problemem są „teorie spiskowe” dziczy, bo zagrażają warszawsko-kremłowskiemu pojednaniu, co do którego padł rozkaz, że ma owo pojednanie być bez względu na wszystko – nie zaś to, że wokół tragedii smoleńskiej snuje się mgła dezinformacji, a ruski bajzel i na lotnisku i w trakcie „akcji ratunkowej” jest wprost przerażający. Problemem dla dziennikarzy jest to, że dzicz zagłębia się w jakieś „filmiki” i dziwne zdjęcia, szuka relacji, dopytuje ekspertów zajmujących się lotnictwem – nie zaś to, że w tych filmikach, dziwnych zdjęciach, ekspertyzach pojawiają się niepokojące elementy rzucające cień na to, co wokół tragedii wyrabia nie tylko strona rosyjska, ale i polska. Problemem nawet jest to, że tylu notabli było na pokładzie polskiego prezydenckiego samolotu 10 kwietnia, tak jakby wielu notabli nie było na pokładzie samolotu z premierem Tuskiem 7 kwietnia.

I naraz okazuje się, że zwykli ludzie, nawet ci, co zwykle nie korzystają z Internetu, szukają opinii, analiz, wieści właśnie w Sieci, a nie w mediach. To dopiero jest katastrofa dla polskiego dziennikarstwa. W dziejowej chwili, kiedy trzeba było zbierać dane, szukać, węszyć, grzebać, babrać się w błocie smoleńskiego lasku przed lotniskiem, płacić łapówki ludziom, co się tam kręcili i coś widzieli, dziennikarze

zajęli się WAŻNIEJSZYMI sprawami, jeno dzicz internetowa zagłębiła się w całe to bagno. Na tym jednak nie koniec. Okazuje się, że analizy dziczy wywołują taki rezonans społeczny, że zamilczeć ani zignorować (obśmiać też) się nijak nie da (zresztą, Bóg jeden wie, czy za chwilę znowu w Polsce się świat polityczny o 180 stopni nie obróci i nie zaczną rozliczać agentury w mediach już na serio, a nie na pół gwizdka, więc może warto się zabezpieczyć zawczasu), więc profesjonaliści zaczynają sięgać i po „filmiki”, i po „dziwne zdjęcia” (które nagle okazują się weryfikowalne i zweryfikowane), a nawet stawiać te pytania, które dzicz sobie na blogach czy w komentarzach do postów stawiała. Jest to o tyle wygodne rozwiązanie, bo zawsze można się zasłonić wskazaniem na dzicz – „to oni insynuują, nie my”. Gdy zaś okaże się, iż „coś w tym było”, to profesjonalista może oznajmić: „myśmy też to nagłośnili”.

Patrzę na ludzi mediów i tak sobie myślę, że mocni to oni są już tylko w gębie. A wydawało się, że na swych barkach dźwigają cały ten świat, nie?

Autor: Free Your Mind

Źródło: [Niezależny Serwis Informacyjny](#)